



Krzysztof Czyżewski - animator kultury, eseista, tłumacz, dyrektor Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach, w latach 2012-2013 Dyrektor Artystyczny Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Jego rozważania na temat kultury głębokiej są dla nas bardzo inspirowane - dlatego zaprosiliśmy go na Slot Art Festival w charakterze gościa specjalnego. Zapraszamy do lektury tekstu *Etos Amatora*.

Etos amatora

Krzysztof Czyżewski



Żyjemy w świecie, w którym słowo “profesjonalizm” nabiera coraz większego znaczenia. Wyczuwalna jest wręcz presja konieczności profesjonalnej pracy, profesjonalnego kształtowania swego warsztatu. Natomiast z pojęciem “amatorskie” kojarzy się wszystko, co najgorsze: brak kompetencji, powagi, gwarancji dobrej jakości itd. A jednak właśnie dzisiaj obrona etosu amatora wydaje mi się szczególnie ważna. Rozumiem, że dotyczyć to może niewielkiego grona osób, ale myślę, że tu, w Czarnej Dąbrówce, dla tego etosu znajdzie zrozumienie.

Amator, którego chcę tu bronić, nie jest jednym z biegunów opozycji “profesjonalne - amatorskie”, “z dyplomem - bez dyplomu”, “instytucjonalne - pozainstytucjonalne”. To byłoby za proste. Jeżeli już trzeba wprowadzać jakieś rozróżnienia, to wolałbym odwołać się do przykładu o wiele bardziej uniwersalnego. Otóż, spośród modeli życia ludzkiego wyodrębniają się dwa typy: gospodarza, człowieka przy warsztacie pracy, posiadającego umiejętności dające mu pozycję społeczną i materialną oraz wędrowca, pielgrzyma, poety, pieśniarza, grajka, bożego głupka. Od dawien dawna też człowiek był świadomy obecności dwóch dróg poznania prawdy: drogi wiodącej poprzez żmudne, rzetelne studia, nabywanie kunsztu i fachowości oraz drogi wiodącej poprzez intuicję, cnotę bezinteresowności, spontaniczność i usiłowanie. I choć drogi te

wzajem się nie wykluczają, a wartości cenione na jednej bywają szanowane i na drugiej, jak na przykład otwartość serca, to jednak decydująca w tym rozróżnieniu jest dawka, stopień nasilenia uczuć, które przekraczają pewną granicę. Oto bowiem Bóg, jak wieść niesie, napełniając czary istnień ludzkich życiem, niektórym z nich dołał o kilka kropel miłości za dużo, przepełniając naczynie. Nie wiem, czy uczynił to przez nieuwagę, czy też krył się za tym przemyślny zamiar. W każdym razie skutek tego jest taki, że po świecie krząta się trochę ludzi, którzy nie mogą sobie znaleźć domu, którym trudno wytłumaczyć, co jest racjonalne i skutecznie prowadzi do celu, ludzi niesfornych wobec obrysowanych granic, norm i kodeksów, uczepionych nitki szaleństwa, nieprzynależnych. Jest z nimi kłopot. Czasami dochodzi do otwartych konfliktów na dużą skalę, jak to miało miejsce w średniowieczu, gdy mocno już skostniałą skorupę instytucji Kościoła naruszył żywioł franciszkański. Podobnie wydarzyło się w tradycji żydowskiej w XVIII wieku, gdy do wspólnoty prowadzonej przez rabinów, uczonych w Piśmie, pochłoniętych studiami nad lorą i przestrzeganiem wszystkich nakazów i zakazów, wdarł się wirujący krążek nauki chasydzkiej. Siła takiego krążka jest spontaniczna, irracjonalna, jest jak zblysk iskry. Dlatego w tym świecie tak trudno jest na niej

budować. Dlatego będzie się musiała ugiąć przed racjami tych, którzy dzierżą tu władzę, którzy budują domy i państwa i którzy jut samą jej ideę nazywają utopijną.

A jeżeli nawet tak się stanie; że siła wirującego krążka zdobędzie sobie tutaj dach nad głową, władzę i instytucję, to obumrze i szybko zamieni się we własną karykaturę. Bywa, że nośników siły wirującego krążka społeczność spycha na margines, prześladowuje, nie wykazując najmniejszej woli ich zrozumienia, i wówczas może to być siła dla wspólnoty negatywna, destrukcyjna. Utwierdzać się tylko będzie przekonanie o niebezpieczeństwie i zagrożeniu płynącym z tej strony. Już przecież Platon zamierzał wygnać poetów ze swojego Państwa. Władcy mocarstw XX wieku wielokrotnie dawali świadectwo bojaźni przed mocą poety uciekając się do środków ostatecznych: Gumilow, Mandelsztam, Lorca, zostali zamordowani, Brodski, jako pasożyt społeczny, zesłany na przymusowe roboty. Przykłady można by mnożyć.

Tymczasem mądrość wspólnoty mierzy się tym, w jakim stopniu potrafi ona oswoić tych ludzi innych dla siebie, zrozumieć i docenić ich przesłanie, dać im należne miejsce we własnej strukturze i nie zmienia ich na swoje podobieństwo siłą swej miłości własnej, lecz przeciwnie, dla dobra wspólnego, chronić ich inność. Czyż nie bywało tak, że obecność poety, pieśniarza, błazna czy jurodiwego, nie tylko nie niosła ze sobą zagrożenia dla wspólnoty, ale wręcz stała na jej straży?

Otóż, być może to pośród tych ludzi odnaleźć można takich, którzy gdzieś głęboko noszą wypisane imię: amator. Jest to jednak duże uogólnienie, które nie wystarcza. To nadal byłoby za proste. Przywołałem kolejny trop, który, jak zaznaczyłem wcześniej, wydaje mi się bliższy niż opozycja "profesjonalne - amatorskie" i który wprowadza nas w ciekawszy kontekst, ale również od niego powinniśmy się uwolnić. Zależy mi bowiem na wyodrębnieniu nie tyle konkretnej postaci, którą można by z amatorem utożsamić, ile na tropieniu konkretnej drogi doświadczania i poszukiwania, pociągającej za sobą szczególną obecność w świecie i sposób wartościowania. Chciałbym o to wszystko pytać odwołując się do różnych przykładów.

Być może amator to jakaś częśćka w nas, w każdym z nas, która oddycha, domaga się ujścia, świadectwa, która nami powoduje albo jest spętana, której trzeba bronić i być jej świadomym? Dlatego chcę mówić o etosie amatora, a nie o amatorze - postaci, która ma do tego różne jeszcze powinowactwa historyczne, ma swoje mity, jak na przykład mit włóczęgi czy muzykanta. Coś mi mówi, że powinniśmy uwolnić się od takich wyobrażeń. Podkreślałam to z takim naciskiem dlatego, że my wszyscy mamy tę słabość, która łatwo oddaje nas we władanie różnych mitów, a od tego chciałbym swego amatora wybronić. Natomiast o etosie amatora warto mówić i to w miarę szczegółowo, konkretnie, choćby trudno było dobrać słowa,

mam bowiem poczucie, że jest to problem, o którym ciągle mało wiemy. I nawet ci, którzy działają w obrębie tego etosu, nie mają wyraźnego rozeznania jego konturów, nie wiedza, jak go trzeba bronić i w którym momencie zdradzają ten etos.

Etos w tradycji greckiej oznaczał życie zgodne z obyczajem, pewien sposób obecności człowieka w świecie. I gdzieś na początku tej tradycji utożsamiano etos z pojęciem dajmoniona. To Heraklit powiedział, że etos człowieka jest jego dajmonionem. Dajmonion zaś to nadnaturalna obecność w człowieku, głos wewnętrzny, który brzmi w nim od urodzenia. Greckie szczęście, eudajmonia, znaczy dosłownie mieć dobrego dajmoniona, a ściślej - rozpoznać swego dajmoniona, umieć go nazwać. Szczęście zatem jest konsekwencją umiejętności rozpoznania swego głosu wewnętrznego. I właśnie do tak rozumianego etosu będę się odwoływał. Nie nabywanie umiejętności

życia zgodnych z obyczajem, z pewną formą przyjętą w społeczeństwie, w kulturze, lecz głos wewnętrzny od urodzenia obecny w człowieku.

Amator "czyniący sercem", "miłośnik" - któż nie chciałby się podpisać pod takim znaczeniem tego słowa? Lecz czy to dzisiaj cokolwiek znaczy? I jak odnosi się to, co amatorskie, do naszego życia prywatnego, do konkretnej pracy artystycznej, która nas tutaj interesuje?

Tak się składa, że w odniesieniu do wielu ludzi postawa amatora jest żywa i twórcza w młodzieńczym wieku. Jest wówczas łatwiej przyswajalna, łatwiej jej bronić. Grupy, które powstają w obrębie etosu amatorskiego, o wiele lepiej dają sobie radę na początku, w momencie budowy, w momencie działania ich młodzieńczej siły. A potem nadchodzi bardzo trudny okres, kiedy przybywa lat, doświadczeń, a zaczyna brakować siły, która dotąd płynęła z praktykowania etosu. Dochodzi się do takiej granicy, za którą zaczyna się pewna bezradność i niemoc.

To może wiązać się z wiekiem grupy albo konkretnego człowieka, ale niekoniecznie. I wtedy dzieje się coś takiego, że kultura, nazwijmy ją oficjalna, zaczyna okazywać swą moc, atrakcyjność i wciąga w swoje tryby. Człowiekowi znajdującemu się na takim progu bardzo trudno jest przeciwstawić swoje argumenty temu, który pewnie stoi na gruncie kultury oficjalnej, na gruncie swojej profesji, ma przejrzystą sytuację społeczną i materialną. Czuje się zagrożony. W tej sytuacji często godzi się na kompromis. Bywają tacy, którzy mówią: dojrzałość, nie kompromis. Jeszcze jedna konfrontacja młodzieńczych marzeń z realnością dnia codziennego, życiem dojrzałym i obowiązkiem społecznym. Powoli przyjmuje argumenty, ma już na podorzędziu przemysłne usprawiedliwienie, niepostrzeżenie opuszcza swoje miejsce i nie słyszy wcale westchnienia ulgi tych, którzy go do siebie przyciągnęli, ulgi, że oto jeszcze jeden przyłączył się do nich, po raz kolejny zaświadczać, że wszystko jest w porządku, że tak trzeba,

że inaczej nie można i już.

Oczywiście to, co nie daje mi spokoju, to szukanie odpowiedzi na pytanie: jak nie ulec w takiej sytuacji niewątpliwie silniejszemu przeciwnikowi?. Inaczej mówiąc: jak bronić etosu amatora na przestrzeni całego życia, nie tylko wieku młodzieńczego? Skąd czerpać siłę w tej swojej nieprzynależności?

Jest takie opowiadanie Hermanna Hessego pt. "Knulp" - historia życia włóczęgi ze Schwarzwaldu, który, będąc człowiekiem bardzo zdolnym, inteligentnym i urodziwym, właściwie całe swoje życie przewędrował przez lasy i miasteczka, nie osiągając niczego wymiernego i zawodząc wszystkie pokładane w nim nadzieje. Aż wreszcie zbliża się kres jego życia i Knulp spotyka na swej drodze kamieniarza, dawnego towarzysza włóczęgi, który ma teraz majątek, rodzinę i co wieczór kładzie się spać we własnym łóżku. Oto, co mówił kamieniarz: "Słuchaj no, przecież ciębie stać było na coś więcej niż całe życie tak się włóczyć i biedować. Zmarnowałeś się. Wiesz, Knulp, ze mnie to żaden uczony, ale wierzę w to, co jest napisane w Biblii (...). Będziesz się musiał tłumaczyć, tak łatwo się nie wykręcisz. Dostałeś więcej niż inni i wszystko roztrwonileś." A dalej odpowiedź Hessego - narratora i samego Boga: "Mimo choroby i zmęczenia oczy miał jak dawniej bacznie otwarte, a nozdrza poruszały się czujnie. (...) Zauważał teraz, kiedy szedł bez żadnego celu, każde zagłębienie ziemi, każdą zmianę wiatru, każdy ślad leśnej zwierzyny (...). Nie czuł wcale lęku: wiedział, że Bóg nie może nam nic zrobić (...) Popatrz - rzekł Bóg - potrzebowałem cię właśnie takiego, jaki jesteś. Wędrowałeś w moje imię i w ludziach osiadłych wzbudzałeś zawsze trochę tęsknoty za wolnością."

Na każdym, kto choćby otarł się o etos amatora, odciska się piętno obowiązku społecznego, pewien szantaż pracy celowej, przynoszącej konkretne efekty i konkretny dochód. Każdy amator odczuwa na sobie to piętno. Pointa Hessego jest tutaj bardzo niepozorna, aż wydaje się nieprawdopodobne, że szalę ugięty takim ciężarem społecznej racji i logiki, można zrównoważyć czymś tak drobnym i prostym. Rzecz bowiem nie w tym, żeby usprawiedliwić się przed opinią publiczną. Rzecz jest w etosie, w dosłyszaniu wewnętrznego głosu, który umiejscawia nas w świecie. Bóg potrzebuje nas takich. Lecz niełatwo jest sprostać temu wyzwaniu, ponieważ kłóci się ono często z tym, jakie wyobrażenie o naszym postępowaniu ma społeczeństwo. Dlatego etos amatora, czy tego chce, czy nie, staje się często etosem walki z szantażem społecznej akceptacji.

Niewątpliwie w centrum tego konfliktu znajduje się problem pracy, różnego do niej stosunku, różnej interpretacji treści tego słowa. Zdawałoby się, że nie ma nad czym strzępić języka, po prostu: pracujesz albo nie, albo czegoś się uczysz i coś robisz, albo liczysz niebieskie migdały,

a stąd już blisko do stwierdzenia: albo jesteś fachman i profesjonalista, albo partacz i amator. W powszechnym bowiem odczuciu amator to ten, co nie pracuje jak trzeba. Spójrzmy jednak z perspektywy amatora na to, co się dookoła dzieje, na tzw. pracę artystyczną. Wybaczenie pewne uproszczenie i być może wyolbrzymienie problemu, ale to dla przejrzystości obrazu. Otóż amator widzi wielki wyścig, widzi ludzi w napięciu i niecierpliwości wspinających się na kolejne progi umiejętności, technicznie coraz sprawniejszych, wycieńczonych rywalizacją i ambicjami, nie nasyconych nagrodami, pobierających na boku chytre porady co do reguł dalszej gry. Im więcej sił ich to kosztuje, im szybciej pędzi ta machina, z tym większą niechęcią i wyższością patrzą na tych, co w wyścigu nie biorą udziału, dwa tylko wytłumaczenia tego faktu dopuszczając: albo im się nie chce, albo nie potrafią. Tymczasem amator ma wątpliwości. Czuje, że jest coś drogiego, do czego chciałby dotrzeć, ale nie nazywa tego mistrzostwem. Nie ma też zaufania do wektora tak rozumianej pracy, który jako jedyny i bezbłędny mógłby go do upragnionego miejsca doprowadzić. Podczas wędrówki doświadczył, że nie można patrzeć wprost na drzewo, aby je zobaczyć. Jest trochę tak obecny w świecie, jakby bał się spłoszyć zwierzynę. Dziwi się trochę rwetesowi, jaki ludzie czynią wokół pracy artystycznej. Praca - powtarzał sobie - jest jak deszcz, który cicho przenika życie, przezroczysta, nie lubi, by mówić o niej za dużo, by ją absolutyzować, bo wtedy spęta i stanie się nieprzenikniona dla poszukującego.

Zdarza się przecież, że amatorowi uda się wykonać znakomitą rzecz. No tak, ale to wcale jeszcze nie znaczy, że on ją umie wykonywać. Mógłby mieć problemy z powtórzeniem tego wykonania. "Nie jest właścicielem żadnego zamka - pisała Maryna Cwietajewa. I dlatego otwiera wszystkie. I dlatego też otwierając każdy od razu, po raz wtóry nie otworzy ani jednego. Jest bowiem nie właścicielem, lecz przechodniem tajemnicy." Nie wiem, czy Boryska, jeden z bohaterów filmu Andrieja Tarkowskiego "Rublow", potrafiłby rozpoznać jeszcze raz właściwą glinę do budowy dzwonu i jeszcze raz bezbłędnie dobrać składniki właściwego stopu. Historia tego chłopca to jedna z najpiękniejszych opowieści przesnutych etosem amatora, jakie znam. Został wybrany przez kniazia na budowniczego dzwonu tylko dlatego, że uwierzono, iż jego ojciec, mistrz ludwisarski, przekazał mu przed śmiercią tajemnicę budowy dzwonów. Tymczasem była to nieprawda. Nie był w posiadaniu tajemnicy. Nie wiedzący nic, czyniący sercem jedynie, stał na czele starszyny, z której każdy wprawdzie był mistrzem w swym fachu, nikt jednak nie był w stanie sprawić, aby dobyły z głębi ziemi, z ciemnej materii, dzwon, wydał czysty dźwięk. Wszystko dzieli tego szalonego chłopca od jego współpracowników: to, że własnoręcznie kopie dół pod dzwon, czego nie uczyniłby żaden zawodowy ludwisarz, że nie posiada spokoju i pewności tamtych, lecz tylko niezwykle wsłuchanie, jakiego udziela światu, że ryzykuje życiem, że włada nim inny

czas, nakazujący czekać i nie działać wtedy, gdy powinna być wykonywana praca, wreszcie i to, że nie zebrał, wzorem swych towarzyszy, ziemskich owoców swej pracy, nie poszedł po nagrodę do władcy. Co dla nich szczęście - dla niego nieszczęście. Przeciskał się przez tłum zupełnie w inną stronę, tam, gdzie czekał na niego Andriej Rublow, zamknięty mistrz, który utracił wiarę, a więc i potencję twórczą. Potrzebował Boryski, aktu jego serca, by sięgnąć po pędzel. Cóż bowiem jego ręka, tak biegła technicznie, znaczy bez iskry? Tarkowski nagle zapala ten czarno-szaro-siwy film wszystkimi barwami ikon Rublowa.

Cnota czekania, czasem wbrew wszelkiej logice, oddaje amatora we władanie innego czasu, oddaje go generalnie w inne ręce. To prawda, że jest wtedy nie do zniesienia i może doprowadzić człowieka do wściekłości, tak jak uczynił to Boryska wobec swoich majstrów. Nie wiadomo, na co czeka i czego chce. Podobnie było z pewnym cadykiem z Przysuchy, który nigdy nie rozpoczął modlitwy w przeznaczonych do tego godzinach i ciągle na coś czekał, mimo że wierni już dawno oczekiwali w bożnicy. A kogo słuchał albo czym kierował się Stalker, bohater innego filmu Tarkowskiego, wybierając taką, a nie inną drogę przez strefę, taki, a nie inny czas i sposób dotarcia do komnaty? To wszystko oczywiście słusznie ludzi denerwuje, wzruszają ramionami albo stukają .D się w czoło. Tymczasem amator wcale nie tego się najbardziej obawia. Jeszcze raz przytoczę Cwietajewą: "Obawia się nie brulionu, określonego w różnych poszukiwaniach, nie białej karty, lecz własnej karty i samowolnej."

Jest jeszcze wiele innych sytuacji, w których amator z tym swoim sposobem działania i wartościowania naprzykrzać się będzie ludziom, postępując często niesprawiedliwie, bez tolerancji, wywołując irytację i niesmak. Na przykład trudno go przekonać do rzeczy dobrze wykonanych, opartych na perfekcyjnym warsztacie. Bywa, że obserwując je nie może zapanować, bezwstydnik, nad uczuciem nudy i uparcie wypatruje dramatu, choćby szczeliny tym, co z taką dbałością stara się eliminować błędy i słabości. Co więcej, z rzeczy wykonanych potrafi, drań jeden, uczepić się najgorszej, pokraccznej i słabej. I nie pomoże fachowiec, który będzie mu tłumaczył, że to słaba jakość, nieudaczność tylko, że są przecież lepsze... On całym sercem będzie bronił czegoś, co urąga oku każdego fachowca.

To samo dotyczy historii, o której uznanie i nadania tak wielu ludzi, co jest przecież zrozumiałe, zabiega. On tymczasem jakby jej nie dostrzegał, zbywa ją i wartościuje inaczej. Przypomina w tym matkę - tam, gdzie świat dla jej syna widzi szczęście, ona dostrzega jedynie nieszczęście. Ale czy świat potrafi pokochać jej syna? Czy świat ma serce?

Jakkolwiek by krytycznie oceniać wszystkie te przypadłości amatora, to trudno zaprzeczyć, że to one właśnie utrudniają mu uczestnictwo w wielkim wyścigu rozgrywa-

jącym się w obszarze pracy artystycznej, w którym może i chciałby brać udział. Tymczasem odstępstwo pociąga za sobą dalsze konsekwencje. Spróbuj nie pracować, a zobaczysz, czy takie stanie z boku jest łatwe. Przez jakiś czas może to stanowić istotne zadanie: nic nie robić. Właśnie teraz, gdy tak silna jest presja ambicji, pogoni, zdobywania, właśnie teraz na pytanie, co robisz?, odpowiedzieć: nic nie robię; nad czym pracujesz? nad niczym; co umiesz? nic nie umiem. Chodzi o właściwie zadane samemu sobie pytanie. Kim jestem w chwili, kiedy wszystko oddam, niczego nie posiadam, nic nie umiem, niczego nie zdobywam? Czy jeszcze wtedy jestem? Czy mam swoje imię? Amator w takiej chwili wzmacnia się. Możesz przez wiele lat sumiennie nad czymś pracować, możesz nauczyć się i osiągnąć wiele, ale przyjdzie taki moment w życiu, kiedy oddasz to wszystko, kiedy może będziesz musiał oddać to wszystko za bezcen, za figę z makiem. I jeżeli wówczas dalej będziesz stał na swych nogach, jeżeli nie zatrze się twoje imię, to znaczy, że przez te wszystkie lata pracowałeś nad czymś zupełnie innym, czymś o nieporównywalnie większej mocy niż jakakolwiek umiejętność i posiadanie w świecie.

To nasze spotkanie w Czarnej Dąbrówce ma w swym tytule słowo "teatr", ale ja, tak naprawdę, nie widzę pośród nas ani jednego aktora, scenografa czy reżysera. W sensie takiego imienia na życie. Myślę, że amator, gdyby nawet chciał tak postawić sprawę, to znaczy utożsamić się z którymś z tych określeń, zawsze legnie na placu boju. Choćby bowiem przez całe życie intensywnie ćwiczył, doszedł do dużej sprawności, która mogłaby rywalizować ze sprawnością najlepszego zawodowca, i choćby nawet historia zaświadczyła jego osiągnięciom, to dla niego samego, dla jego głosu wewnętrznego, życie byłoby niespełnione. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Może zbyt wielka jest tęsknota? Może jest jakiś okrucieństwo prawdy w tej przypowieści o przepelnionym przez Boga naczyniu ludzkim? W każdym razie amator musi szukać swego imienia, swej tajemnicy, gdzie indziej. Tropów jest wiele. Ja bym Przywiązywał wagę do tego, który wiedzie przez nierozdzielność pracy twórczej amatora z jego etosem Życiowym, z tym, jak jest obecny w każdej chwili swego życia. Tu nic nie da się oddzielić ani ukryć. Nigdy amator nie zastawi siebie umiejętnością, choćby nie wiem jak była doskonała. Każda przesłona w postaci formy czy sztuki staje się przezroczysta. Jeżeli coś będzie nie w porządku z jego etosem życiowym, to będzie to przezierało przez najdoskonalszą grę i sprawność techniczną. Takie to już jego przekleństwo.

Wszyscy znamy z Życia sytuację jazdy na gapę. Są ludzie, którzy potrafią to robić, którym wielokrotnie się udaje przejechać autobusem bez biletu. Są również tacy, którzy raz tylko nie będą mieli biletu i natychmiast pojawi się kontroler i wypisze karę. To są amatorzy. Im nigdy nie uda się przejechać na gapę.

Być może ktoś słuchający mnie do tej pory wyciągnie z mej opowieści taki wniosek, że oto powinno się przestać pracować, zacząć lekceważyć wszelkie umiejętności, książki odłożyć do lamusa, przestać się przejmować zarzutami ze strony społeczeństwa, jak i wszelkimi argumentami tych, którzy atakują nas za amatorstwo, no i... skutek tego byłby żalony. Zapewniam was, że bez większego trudu mógłbym odnaleźć przykłady obrazujące degradację środowiska amatorskiego, gdzie tak łatwo o tanią spontaniczność, ciepłe samozadowolenie, łatwe wymigiwanie się od pracy, infantylną intelektualną, gdzie za tani grosz można kupić całą tak zwaną alternatywność. Także tym tropem podążając mógłbym próbować bronić etosu amatora. Wybierając inną argumentację świadomy jestem czasu, w którym przyszło nam się spotkać. Mogę wyobrazić sobie czas inny, kiedy odczuwałbym wielką potrzebę mówienia o wytężonej pracy technicznej, o zdobywaniu profesji, o pogoni za umiejętnością. Dzisiaj jednak te słowa nie mają właściwego ciężaru, ulegają ciężarowi sił tego świata, sił unifikujących i zdobywczych, które, jak każdy nałóg, sycą rozkoszą, wysysają z ludzi mozolną pracę, aż wreszcie, wydrążonych, porzucają. Wykonywana jest praca w dużym stresie i napięciu, aż do granic wytrzymałości, lecz jej energia samopali się. Coś innego jest zapomniane, co pozostaje w obrębie naszego gospodarstwa jak zasypana studnia. To coś nie daje spokoju poszukującym źródła,

wszystkim Wędrowcom Wschodu. O świecie wstaną znowu i zabiorą się do ciężkiej pracy. Albowiem dwie strzały muszą dosięgnąć martwego punktu, aby krążyć w nim poczęła żywa moc: pierwsza jest strzałą nieprzynależności, odmowy; druga jest strzałą, która tę nieprzynależność uwierzytelnia. To dokładnie tak, jak w wierszu Aleksandra Wata pt. "Holderiin": "uwierzytelnić swą nieprzynależność". Teraz dopiero odsłania się druga strona tego, o czym do tej por, mówiłem, strona wytężonej uwagi, wysiłku zmierzającego do dania świadectwa, do ostatecznej konsekwencji w tym, co się robi. A to jest najcięższa praca. "Odmową zmóc" - to jeszcze raz Cwietajewa. Nie potrafię dużo powiedzieć o tej drugiej stronie, ale też myślę, że nie trzeba. O tym najwięcej powiedział chyba Hesse w opowieści o Knulpie. To jest rzecz naprawdę najprostsza, najprostszymi w świecie rytuał - uwagi. wsłuchania się w wewnętrzny głos, wolny od wszelkiej ideologii, otwarty na przestrzeń tajemnicy.

Kończę pewną niepokojącą anegdotą z "Żywotów" Plutarcha, która jest jeszcze jedną próbą dotarcia do sekretu etosu amatora: "Kiedy powiedziano Antystenesowi, że Ismenias doskonale gra na flecie, ów słusznie odpowiedział: 'Przeto nie nadaje się do niczego innego; w przeciwnym razie nie grałby tak dobrze.' "

Post scriptum do „Etosu amatora”

Krzysztof Czyżewski

O etosie amatora opowiedziałem swoim przyjaciółom w namiocie nad brzegiem Łupawy na Kaszubach. I pewnie, gdyby nie uparte staranie niezawodnej Joanny Wiszniewicz, nigdy nie doszłoby do spisania tej opowieści. Pozostałaby jedną z tych przypowieści praktyków idei, którzy w rzadkich chwilach swego tułaczego życia dzielą się z najbliższymi intymną refleksją i doświadczeniem, z trudem znajdując słowa na ich wyrażenie. A słowa te, zapisane, są jak kamyki wyciągnięte ze strumienia, inną już mienią się intensywnością barwy i światła.

To było latem 1989 roku. Przez kilka lat, razem z Gminnym Ośrodkiem Kultury w Czarnej Dąbrówce i moim poznańskim teatrem „Arka”, budowaliśmy na Kaszubach Wioskę Spotkania – międzynarodowe forum twórców kultury alternatywnej. Spektakle teatralne, filmy, wystawy fotografii, warsztaty, wykłady i dyskusje, pierwszy pokaz „Mahabharaty” Brooka, pierwszy przekład „Performera” Grotowskiego, a przede wszystkim muzyka, niekończące się pasmo muzykowania, tańca i śpiewu. Czas owocobrania dla przybysz z Europy, Indii czy Chile. Pierwszy polski przystanek dla Rosjan, Ukraińców i Białorusinów, którzy później nawiążą współpracę z Gardzienicami, Węgajtami, Fundacją

Muzyka Kresów, Teatrem Stu... A jednocześnie poczucie schyłku całej epoki. Dla mnie dojmująco silne. Wiedziałem, że za chwilę się rozejdziemy, że moce twórcze tego środowiska są na wyczerpaniu, że przed nami nowe wyzwania i być może palenie za sobą mostów. Szykowaliśmy się do drogi w nieznaną, a mnie dręczyły pytania: Jak jesteśmy do niej przygotowani? W co wyposażeni? Czy łączy nas jakaś postawa, jakieś wartości, jakaś tajemnica wreszcie? Tak się rodziła refleksja o etosie amatora. Z musu słowa kształtującego samoświadomość, z troski o imię, z poszukiwania tożsamości, z potrzeby mocy, by nie ulec w walce z koniecznościami żywymi i innymi siłami zastawionymi na nas przez świat. Wśród tego grona niesfornych i wędrownych nie byłem osamotniony w odczuciu, że oto zbliża się dla nas kolejna sytuacja graniczna, w której życie, dysponując żelaznymi argumentami, zaoferuje nam przystosowanie się, uznanie powszechnie akceptowanych formuł (wszystko jedno w życiu czy w sztuce) oraz kuszące profity ze status quo profesjonalisty.

W następnym roku nie było już Wioski Spotkania. Namioty, wraz z rodzinami i artystycznym dobytkiem, zapakowali-

śmy do wozów i wyruszyliśmy w drogę. Podczas kilkumiesięcznej „Podróży na Wschód” pisaliśmy program Fundacji Pogranicze. Wraz z dotarciem do Sejnu i utworzeniem tam Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” rozpoczęła się dla mnie nowa epoka.

„Etos amatora” ukazał się drukiem w 1991 roku w miesięczniku trochejnym „i” razem ze spisanyymi przez Joannę Wiszniewicz krótkimi opowieściami, w których usiłowałem sportretować „amatorów” uczestniczących w spotkaniach w Czarnej Dąbrówce: Krzysztofa Furmanka, Christiana Bredholta, Wolfganga Niklausa, Mute i Wacka Sobaszków, Sergio Hernandez, Sandro Mengali, Leszka Kolankiewicza i Wojciecha Szroedera. Pismo, wydawane przez warszawską oficynę „Pusty Obłok”, było niskonakładowe. Kulturą zaczął władać rynek sztuki, festiwalowa gigantomania, wielka liczba. Profesjonalizm w każdym calu, szybka produkcja, medialne uderzenie, mizdrzenie się do masy-kasy... Gdzie tu miejsce na bunt, nonkonformizm, osobną ścieżkę? Miałem odczucie, że mój tekst staje się nieczytelny skryptym zakopany głęboko w ziemi, niepotrzebny. Sam zacząłem zapominać, że coś takiego opublikowałem drukiem...

Aż po kilku latach zadzwonił Rolandas Rastauskas z Litwy dzieląc się wrażeniami z lektury „Etosu amatora”. Do dzisiaj nie mam pojęcia w jaki sposób mój tekst zawędrował na tytułową stronę litewskiego tygodnika kulturalnego. Dużo łatwiej było dotrzeć do niego studentom Uniwersytetu Warszawskiego, ale i tak zaskakiwali mnie jego znajomością przy najrozmaitszych okazjach. Od innych studentów przybywających na staże do „Pogranicza” dowiadywałem się, że czyta się go i dyskutuje w warszaw-

skiej Akademii Teatralnej. A potem takich informacji o „Etosie amatora” pojawiało się coraz więcej. Ktoś napisał o nim pracę dyplomową, ktoś szykował spektakl teatralny, ktoś zabiegał o nowe wydanie „Knulpa”... Nadchodziły nowe tłumaczenia. Gdy poproszono mnie o autoryzację przekładu angielskiego pomyślałem, że wróć do tego tekstu, przepracuję go, uzupełnię z myślą o czytelniku z innego kręgu kulturowego... Nie zmieniłem ani słowa, nic nie dodałem.

Jest nad czym się zadumać przy życiu po życiu „Etosu amatora”, tej niskonakładowej opowieści dla przyjaciół, pozbawionej profesjonalnej promocji, medialnego szumu, marketingu i czego tam jeszcze. Nie stając się wielką liczbą wszak jednak jakąś liczbę stanowi, szczególnie, bo Wędrowcy Wschodu nie tylko osobnymi chadzają ścieżkami, ale także wieści przekazują sobie innymi kanałami („Klamką porusza pojedyncza ręka” – Szymborska).

Zapytacie o losy amatorów w nowej rzeczywistości, o wierność etosowi. To temat na osobną opowieść. Zdumiewam się jednak jego żywotnością w czasie marnym. I cicho się uśmiecham podpatrując jakie piętno odciśka na drogach życiowych moich przyjaciół. Ot choćby kłopot jaki przysporzył akademikom Leszek Kolankiewicz swoją pracą habilitacyjną: fascynująca, ale czy profesjonalna? – pytali...

Sejny, wrzesień 2004

Krzysztof Czyżewski

Praktyk idei, eseista i animator działań międzykulturowych; twórca Fundacji „Pogranicze” i Ośrodka „Pogranicze - sztuk, kultur, narodów” w Sejnach. W 2011 r., wraz z zespołem „Pogranicza”, otworzył Międzynarodowe Centrum Dialogu w Krasnogrudzie, przy granicy polsko-litewskiej. Autor m.in. książek „Ścieżka pogranicza” oraz „Linia powrotu”. Inicjator programów dialogu międzykulturowego w Europie Środkowej, na Bałkanach, Kaukazie, Azji Środkowej, Indonezji, Bhutanie i innych pograniczach świata. Wykładowca wielu uniwersytetów w Europie i USA.

Przewodniczący Rady Kongresu Kultury Partnerstwa Wschodniego. Laureat Medalu św. Jerzego, nagród A. Gieysztor i J. Giedroycia, nagrody Forum Ekonomicznego w Krynicy „Nowa Kultura Nowej Europy”. Ambasador Europejskiego Roku Dialogu Międzykulturowego. Od wielu lat zaangażowany w programy rozwojowe miast i regionów poprzez kulturę (Sztokholm, Kraków, Lublin, Podlasie). W latach 2012-2013 Dyrektor Artystyczny Europejskiej Stolicy Kultury Wrocław 2016.